

S. Mieloguska. Suro.

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

TANDETA





TANDETA



TANDETA

[Poezje]

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

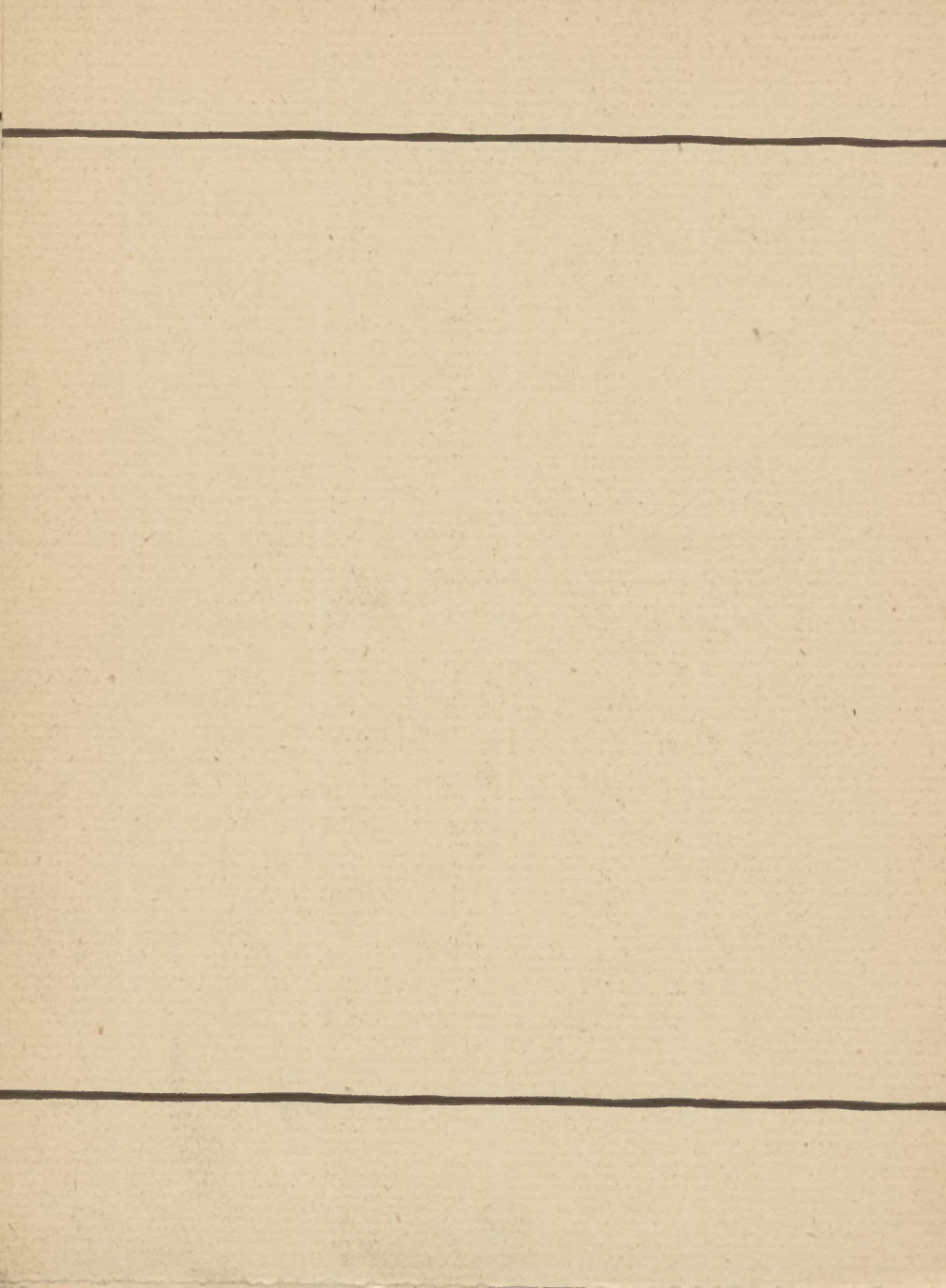
[Kraków 1901]



84409

.....
*Bo ty jedna jedyna, życie mego życia,
Ty aniele skrzydlaty, coś mnie uczył kochać,
Uczył cierpieć i cierpiał ze mną od powicia,
Ty jedna Matko możesz na mym grobie szlochać.*

Łódź, 15 lipca 1901.



Mo to

I patrzył w jutrzenkę jasną...

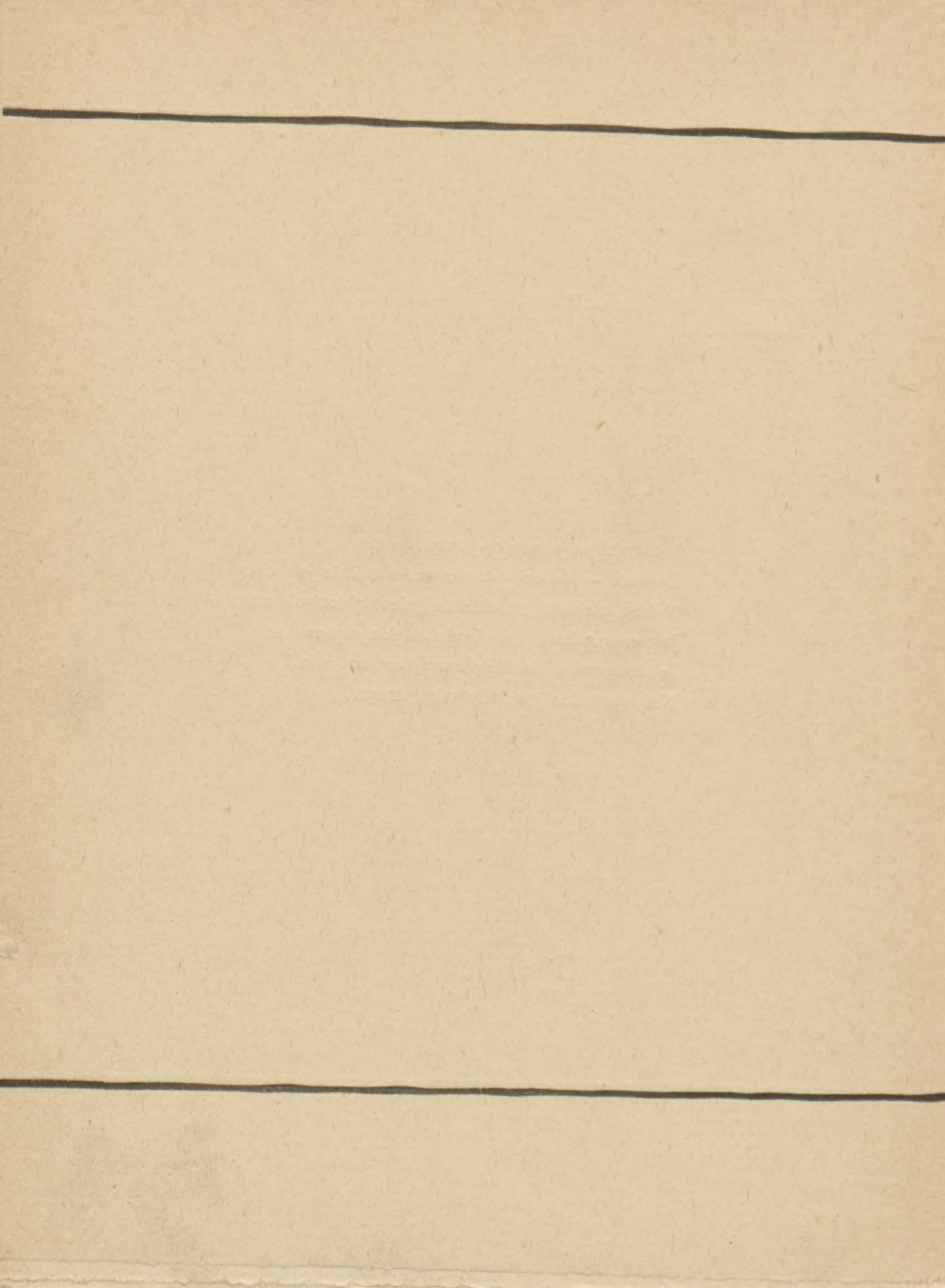
Dziwna — świeci promienna, a niknie jak czar

Wśród otchłani gwieździstej niezgłębionych mórz —

Jak czar niknie, gdy budzi błękit słońca żar.

Jej tron musi lśnić złotem i purpurą zórz!

Nie wszystkie gwiazdy tak gasną...



Dzisiaj otwieram sklepu krzykliwe wrzciądze.
Ciemny — pyłem okryty, gratów w nim bez miary...
Stój wykwinny przechodniu! — Dla ciebie zbyt szary —
Nie wchodź. — Tutaj nie znajdziesz nic godnego sądzę.
A jeśli mimo wszystko zawitasz, nie zbłądzę,
Gdy poproszę: na braki spoglądaj przez szpary!
Wszak towar zgromadziłem wzgardzony i stary,
Zdolny chyba gawiedzi zaspokoić żądze.

Wnętrze mojego sklepu nie błyszczy kolorem.
Rozrzucone po kątach koślawe przedmioty,
Są niejako nabywców swoich żywym wzorem.
I dla was je wystawiam zgłodniałe istoty!
Kupujcie! — Dla was będą zawsze drzwi otworem,
A może gdzieś ... wśród kurzu ... znajdziecie klejnoty.

Gdy Bóg stwarzać miał człowieka
Kazał wezwać rządcę nieba
I rzecze: »Co nie ma wieka
»Nic nie warte, bo zacieka.
»Pięciu klepek mi potrzeba
»Na zmysły tego człowieka
»Ze zdrowej silnej dębiny.
»Szukaj więc po wszystkich lasach,
»Po pustyniach, po pampasach,
»A choćby z czarnej głębiny
»Masz przynieść drzewo bez skazy«.
Takie dostawszy rozkazy,
Całkiem jakby u nas doma
Rządca woła ekonoma,
Ekonom woła pisarza,
Pisarz woła znów włodarza,
Tak, że wyznać muszę z żalem

Zakończyło się

Zakończyło się fornałem.
I nieborak zwiedzał gaje,
Nawet pola i ruczaje,
Wreszcie ujrzał pełen lęku,
Że niema drzewa bez sęku.
»Cha, no trudno! Byłem wszędzie;
»Pan Bóg na mnie w niebie czeka,
»Ja się trudzę, czas ucieka,
»Dębina tu nic nie warta,
»Zatem niechaj co chce będzie
»Pójdę po drzewo do czarta«.
Z Lucyferem niebezpiecznie,
Wiedział o tem chłop przezorny,
Więc u tronu stanął korny,
Bił pokłony, wreszcie grzecznie
Zasięgnął u dyabła rady,
Jak uniknąć w niebie zwady.

Lucyfer

Lucyfer łaskawie słuchał,
Śmiał się głośno, sapał, dmuchał,
Aż rzekł ziejąc ogniem z gęby:
»Dam ci cztery zdrowe dęby!«
»Panie! mnie pięć dębów trzeba!
»Bez nich nie wrócę do nieba«.
»Użyj bracie polityki
»Piątą klepkę zrób z osiki!«
Chłopa straszna zdjęła trwoga,
Lecz bojąc się gniewu Boga
Wziął osikę, cztery dęby
I opuścił czarcie zręby.

Jeśli dzisiaj u człowieka
Pogmatwane myśli szyki,
Pomnij: to klepka z osiki
Spaczyła się i — przecieka.

Niezawodnym dowodem głupoty jest niby
Zamiast mózgu mieć wodę, zamiast myśli ryby.
Nie słyszałem by mogła żyć bez wody ryba,
Myśl natomiast bez mózgu to się zdarza chyba.

Dziś rano z lustrem kłóciłem się długo.
Chciałem je ujrzeć. Daremnie!
Widziałem wszystko: jedną ścianę, drugą,
Piec, szafę... Cóż to drwi ze mnie?!
I z pustą złością chwyciłem za ramę.
Na wszystkie strony kręciłem.
Błyszczało szkiełko, lecz odbitki same
Płodziło. W końcu je zbiłem.
Brzęk mnie obudził i parsknąłem śmiechem,
Ale dlaczego — nie wiecie!
Choć potłuczone rzuciłem na śmiecie
Śmiecie odbiło z pośpiechem!

Przejdź koło trumny, a batystu w dłoni
Nie dręcz, niech brwiami nie targają kurcze,
»Pobożny człowiek« westchnienie uroni
I wpije w ciebie spojrzenie jaszczurcze.
Stań przed winiarnią i wołając: »Trumny!«
Wskazuj na beczki drżącymi ramiony,
»Pobożny człowiek« szepnie: »Bezrozumny«.
A gawiedź wrzaśnie ze śmiechem: »Szalony!«
Jaka różnica jest pomiędzy beczką
A pustą trumną zapytaj od serca,
»Pobożny człowiek« odpowie ucieczką,
Splunie i jęknie zgorszony: »bluźnierca!«

Biedny bluźnierco! posłuchaj bajeczki;
Raz beczkę trumną można Król ogłosił
I lud pobożny widząc puste beczki,
Chustki wyjmował, w górę brwi podnosił...

Gdy tłumem nie chce się wydać tłum płaski,
Kiedy jednostka chce wołać: »Domino!«
Wystarcza kupić srokate domino
A na twarz włożyć tekturowe maski.
Wtedy bezkarnie, spojrzeniem wyniosłem,
Obrzucać osła mogą małpie głowy
I mówić, budząc wybuch śmiechu zdrowy:
Ja małpą jestem — ty zaledwie osłem«.
Trudniej rozróżnić przy ciastkach i winie,
Gdy czynność masek spełniają firanki,
A zamiast fletni grają pełne szklanki,
Od małp osłęta, a od osłów ... czy nie...?

Szedłem z moim kolegą i zoczyłem nagle
Garderobę sunącą zwolna przez ulicę.
Więc, ażeby rozwiązać straszną tajemnicę,
Skierowaliśmy ku niej naszej łodzi żagle.

Dziwo! Kroczył kapelusz, dumny, jakby wiedział,
Że chroni przed wichrami rozczesany przedział;
Niżej — sztywna, bez ruchu, jak na warcie żołnierz,
Niosła szyja, białości nieskalanej kołnierz;
Niżej — paltot niebiański; niżej płaszcz, rury
Dwie, proste, gładkie, niby wycięte z tektury;
A najniżej, poprostu arcydzieła cenne,
Otulone w żółtawe kamasze sukienne,
Wachały się trzewiki, dwa istne świedidla
Kształtne, jakby nie nogi kryły, lecz prawidła.
Nie potrafię wyrazić mojego zachwyty,
Tylko powiem: dosięgnął zachwytów zenitu,

Kiedym

Kiedym się oko w oko spotkał z aparatem.
Dał mi rączkę, misternie odzianą szkarłatem
I przemówił!! — Coś potem zgrzytło, drgnęły spodnie,
Kapelusz łuk zatoczył, wreszcie ruszył zgodnie,
Roztaczając w około werweny aromat,
Wynalazek stulecia: mówiący automat.

W trzech wypadkach fortepian salonami włada.
Primo: kiedy ton pierwszy z klawiatury pada.
Secundo: kiedy struny w niepojętym wirze
Tracą rozum i giną, chcąc udawać spiżę.
Wreszcie tertio: gdy ręka chyża, jak pies gończy,
Zwalnia biegu i muzyk natchniony ... pieśń kończy.
Ale kiedy się milczy, nie dla gimnastyki,
Nie z grzeczności, by klaskać, tylko dla muzyki,
Rozwiązaniem zagadki nie mogę się szczycić.
Tej ciszy nie zdołałem w salonie uchwycić!

Nadbiegła mała suczka biała w czarne łaty,
Z pyszczkiem dziwnie bolesnym, zapadniętym bokiem
szukała zaciekle czegoś błędnym wzrokiem
I skomlała, jak gdyby dostawała baty.
Wziąłem ją na kolana, przykryłem ubraniem,
Jąłem głaskać po łebku, podawać łakocie,
Jeść nie chciała — lecz nagle, w odpowiedź pieszczocie,
Wybuchnęła szalonym, rozpaczliwym łkaniem.
Pan domu przestał czytać: »Ta suka przekłeta
Nie daje mi spokoju! Tak noc wyła całą
I znów piszczeć zaczyna«. — »A cóż jej się stało?«
»Wczoraj wieczór kazałem potopić szczenięta«.

Wczoraj w nocy straciła pewna dama syna
Jedynaka. Pobiegłem zaraz jak szaleniec
U kwiecarki zamówić pogrzebowy wieniec,
Bo współczucie, to ulga w cierpieniu jedyna.

Ujrzałem

Ujrzałem biedną matkę. Jak posąg Nioby,
Błada była, bolesna, okropnie wychudła
I patrzała bezmyślnie na otwarte pudła,
Pełne nowo-kupionej, wykwintnej żałoby.
Cofnąłem się — sądziłem, że nie wchodzić lepiej.
A ona czarną szatę obracając w rękę,
Do sługi rzekła głosem pozbawionym dźwięku:
»Odnieś to do modniarki — niech da szersze krepy«.

Powróciłem z pogrzebu. Karawany, trumny,
Światła, księża, organy, katedralne łuki,
Mięszały mi się w głowie — tylko bezrozumny
Dźwięczał w uchu wyraźnie jęk samotnej suki.

Ilekróć pomarańczę kraje zimna stal
I widzę, jak pozbawia ją złocistych szat,
Mam wrażenie, że wędnie pełen woni kwiat
I żal mi żywej barwy i zapachu żal.
Wprawdzie ludzkiej mądrości niezgłębjona toń
Zastąpiła smażeniem pomarańczy brak.
Ale skórka smażona choć ma słodki smak,
Choć jest strawną, utracą świeżość, blask i woń.

A wiele takich skórek, nie pomarańcz już,
Musi smażyć, kto pragnie długie lata żyć...
Tylko barwne motyle mogą przecież pić
Boski nektar, z kielichów purpurowych róż!

Siedział żółty, spotniały i we czworo zgięty,
Rozpaczliwie kolanem łokcie ścisnął sztywne,
Głowie za punkt oparcia snadź przeznaczył piętę
I drzemał, wykonując podskoki przedziwne.
»Hop! Hop!« łopotał pociąg. Spiący płacił grzywnę.
Ale kurjer swawolny czemś nowem zajęty,
Nagle stanął, wydając okrzyki naiwne.
»Co to?« — jęknął podróżny, wielkim strachem zdjęty.

»Aa... stacya...« Westchnął, ziewnął, ujął się pod boki
Wyprężył, aż chrupnęło coś w stawach, a potem
Wlepił w sufit wagonu wzrok błędny, szeroki
I zasnął, kołysany rytmicznym łoskotem.
Wokoło wirowały przepyszne widoki...
»Hop! Hop!« łopotał pociąg. »Czas na to z powrotem...«

Po lśniącej szybie jeziora w oddali
Płynęły rzędy obmokłych korabi,
Szare i śliskie, jako ikry żabiej
Ogromne płyty pełznące po fali.
Ich biegu chyba niewidome strzegły
Dłonie żeglarza, bo ciała samotne
Zdały się nadto ruchliwe i zwrotne,
By siłą prądu kierowane biegły.
Piaszczystą ławę spotkały w pochodzie.
Zwolna — kołysząc szyjami wspaniale —
Na wieki w piasku zaryły niedbale
Stare — zbutwiałe — zapomniane łodzie.

Podobnie prują błękitne płaszczyzny
Jeziora życia, cienie dziwnie szare,
Niesione falą... To korabie stare
Błądzą, szukając wiru, lub mielizny.

PATENT!

Kto chce pracować jawnie, a nie skrycie,
Pragnie mieć zapewnione niezależne życie,
Badaniem ogniotrwałych kas i szkatuł chytrych,
Niechaj kupi:

— »Jedyny w swym rodzaju wytrych« —

Pod gwarancją otwiera on wszelakie zamki!

Niweczy zgrzyt szarpniętej niespodzianie klamki!

Kroki na korytarzu! Oraz odgłos dzwonka!

A wszędzie do nabycia pod nazwą:

— »Pierścionka!«

Spotkanie: na wieczorze. Zbliżenie: wśród tańca.
Sympatya: konie, stroje ... sympatya i basta.
Zrozumienie: przybycie na zimę do miasta.
Koniec aktu: monolog miłości posłańca.

W drugim akcie: po słowie, zebrana rodzina...
Potem ciche, tajemne kochanków rozmowy,
Przysięgi i tak dalej. Słowem: żywot nowy.
W trzecim akcie: małżeństwo, poznanie ... korytna.

Stała wysmukła, strojna w białe bzy
I perły krągłe, przejrzyste,
Takie żywe, takie czyste,
Że po jej piersi spływały jak łzy.

.
Złośliwy małżu! Przestań prosię drwić!
»Ona« ach złote ma serce!
Nasze łzy także nie są w poniewierce,
Lecz ich nawlekać nie można na nic...

Nazywano ją »szarotka«.
Była opuszczona, sama,
Chociaż figlarna, jak kotka,
Bo mama...
Nagle umarła jej ciotka,
Wielce szanowana dama.
Płakała szarotka słodka
I mama.

Dziś na palcu ma pierścionek,
Okryta zwojem koronek,
Otoczona, uwielbiana,
Bo w jej życiu zaszła zmiana
I dano po śmierci cioci
»Szarotce« miano »stokroci«.

Spiarali się nad nowo przysłanym rachunkiem.

- »Jak to?! — znowu zabawki?! — wierzaj moja droga
 - »Tak iść dalej nie może pod żadnym warunkiem!
 - »Mnie zrujnujesz, a chłopca rozpsujesz, na Boga!
 - »To szaleństwo! — wiem dobrze — musi mieć rozrywkę—
 - »Ale tanią — zanadto jest jeszcze maleńki,
 - »Wszystko łamie, rozbija...« Poprawiła grzywkę
- I westchnęła boleśnie: »On taki bladeńki!«

— Ona — lubiała nadewszystko lalki.
»Bo mają oczka modre jak bławatki,
»A buzie krasne jak różane pączki«.
Innej zabawki nie brała do rączki.
— Ona — wyrosła do piezczot, nie walki.
Czysta i skromna jako polne kwiatki,
A serce miała czułe jak skowronki...
On ją pokochał... Zmienili pierścionki.
— Ona — lubiała nadewszystko lalki,
Więc go laleczką nazwała piezczotka,
A on ją lalką jedyną laleczki
I tak mijała wiosna życia słodka.
Minęła wiosna i laleczek lalki,
Nie wiedząc, jakie są twarde kamienie,
Rozbiły sobie o kamień główeczki...
Czy to jej wina?... Nie — to przeznaczenie.
— Ona — wyrosła do piezczot, nie walki...



Gdyby, o matko! na dziecinę
Oczy patrzyły twe, nie serce,
Gdybyś na jego czystem czole
Przeszłość widziała, nie nadzieję,
Gdybyś, o matko! tę głębinę
Cierpień i życie to w rozterce,
Zamknięte w uczuć błędnem kole
Ujrzała, gdy się syn twój śmieje,
Gdybyś, o matko! w jego zwroku
Wyczytać mogła zmysłów błyski
I niezatarte śmierci piętno,
Ujęte żywych spojrzeń ramą,
Natenczas, biedna, byś o zmroku
Zraszała łzami brzeg kołyski
I do ust syna dłoń namiętną
Cisła, by nie mógł wołać: mamó!

Pamiętam jakby dzisiaj, klęczeli oboje
Przed ołtarzem... skąpani światłem... kwiatów deszczem..
Szczęśliwi... nie szarpani przecuciem złowieszczem..
Pamiętam jakby dzisiaj, ich twarze... ich stroje..
Pamiętam, jak zmieniali pierścionki złociste..
Jacy byli skupieni... modlitwą przejęci..
Kiedy śluby przed Panem składali wieczyste..
Pamiętam... Wyglądali oboje jak święci!
Hej... pamiętam jak dzisiaj...! Wówczas o rozterce
Myśleć nawet nie śmiałem. Wówczas mi się zdało,
Że dwa ciała tworzyły jedno wielkie ciało,
A dwa serca stopiły się w ogromne serce.
A jednak... zgasły światła, zwiędły kwiatów sploty
I serce czuć przestało — jeśli przedtem czuło —
Dzisiaj — został na palcu tylko pierścień złoty
I dwie dłonie dla świata połączone — stulą.

Stos papierów nakryty rzeźbionym przyciskiem,
Pozornie pełen leży niezmaconej zgody,
Połączony marmurem, jak prastare rody
Świetnym herbem, tradycją i wspólnem nazwiskiem.
Lecz kto marmur podniesie, odrazu spostrzeże
Ruch w plice. Żyje, rośnie, oddecha głęboko
I po chwili rozróżni bez wysiłku oko
Pojedyncze arkusze w zebranych papierze.
Jeśli przycisk za ciężki miazdży, nie ugina
I rozsypie się papier, skoro trącisz bryłę,
Wtedy omiń zbutwiałą pamiątek mogiłę,
Tylko wyryj na głazie:

D. O. M.

RODZINA.

W czasie wystawy koguty nieskromne
Jawnie deptały przepisy niezłomne...
Słyszano śmiechy w jednej tylko grupie.
Ptaki się śmiały? Nie! Ptaki za głupie.

Nie jestem niedyskretny. Wiedzieć nawet nie chcę,
Co skłoniło Adama i Ewę, by w raju
Nosić liście, choć stroje nie były w zwyczaju.
Mniejsza z tem. Ciekawości to mojej nie łąchce.
Zresztą, kiedyś słyszałem — ale to żart płaski —
Słyszałem, że zadaniem kuszącego węża
Być miało podburzanie małżonki na męża
I w tym celu polecił figowe przepaski.
Z drugiej strony słyszałem, że tam wstyd grał rolę.
Być może. Jednak widząc, jak często dla stroju
Wstydlivość musi trzymać wartę w przedpokoju,
Mimo wszystko podanie pierwsze chyba wolę.

— »Nasze życie zbyt krótkie! Czemu noc gwieździsta
»Jest matką snu, nie myśli!« skarżył się artysta.
— »Daj spokój!« — krzykła żona — »Nie wywołuj nędzy!
Pomyśl, ilebyś musiał zarabiać pieniędzy!«

Nastąpiła długa cisza uroczysta,
Wtem sycząc, niby rozhukane wiry,
Trysnęła wstęga szalona, świetlista,
Targając nocą uśpione szafiry.
I wąż ognisty wyciągał się, prężył,
Potęgą gwiazdy wstydlive zadziwił,
Zdało się, głębie wszechświata zwyciężył,
Zdało się, ludzkość głodną uszczęśliwił.
Pędził hen w górę! Aż w zwycięskim locie
Płomiennem czołem rozwalił firmament,
Ryknął, rozsypał złotych iskier krocie
I znikł, jak w ogniu spalony dyament.

Ktoś krzyknął... Cóż to?!... Nieznany flegmatyk
Jął mi tłumaczyć długo i szeroko,
Że przytwierdzony do rakiety patyk
Spadając, pono komuś wybił oko...

Wieczór dobroczynności. Tak miłej zabawy,
Jak żyję, nie pamiętam. Bo i cel był wzniosły.
I rozrywka i temat dla studyów ciekawy,
Gdy wspólnie z wyborcami idą w taniec posły...
I widok czarujący, jak gdyby wyrosły
Pęki cudnego kwiecica z drewnianej murawy,
Dość, że walce i śmiechy i wina uniosły
Moją duszę w różane kraje lepszej sprawy.

I skoro złotych myśli obsiadły mnie roje
Ktoś zawołał: »Czy taki fakt się kiedy zdarzył?
»Tysiąc reńskich!« Myślałem, że na gwiazdach stoję.
I gdym tak zasluchany, zapatrzonej marzył,
W pobliżu jakiś krawiec jął oceniać stroje.
— »Nie nudźże Pan!« krzyknąłem, jakby mnie oparzył.

Jeden termometr mały, duży drugi,
Gdy obok siebie postawi się blisko,
Słup rtęci w obu nie jest równie długi:
W jednym wysoko, w drugim stoi nisko.
Jeśli kto w wodzie gorącej zanurzy
Naraz obydwą, podniosą się, ale
Choć żywe srebro w małym się wydłuży,
Stać będzie niżej, ma drobniejszą skalę.
I póki oba będą rosły, póty
Wyścig zniesienia różnicy nie dopnie,
Chyba, gdy większy termometr popsuty
Rtęć się wyrówna, lecz poróżnią stopnie.

Syczą piły, gwałt w lesie — setki siekier warczą,
To poręby, to stare pokolenie kona.
Lecz ufne własnej sile — zbrojne wieków tarczą
Dobrotliwie nad ludem wyciąga ramiona.
Drwale rąbią i rąbią, szamocą się, charczą,
Ale trudem zbytęcznym zdaje się obrona,
Wszak potędze wiekowej siekiery nie starczą...
Wszystko pierzcha, gdy gniewem zaszumi korona.

— »Korzenie trzeszczą! Dycha! Zmykaj, bo się wali!«
I z rykiem, hukiem strasznym, wznosząc kurzu kłęby,
Runęły drzewa — »aa!« Tłum stojący w dali
Przypadł jak sęp, gdzie legły pokonane dęby
I zatopił w nich szpony wykute ze stali...
To poręby!

I myśl puściłem postępu korytem
I w przyszłość ludów patrzałem z zachwytem,
Jak buty szyją patrycyusza dłonie,
A szewc zasiada na królewskim tronie.
I połamałem herby mego ojca,
Dziadów, jak kury wpędziłem do kojca,
Zamknąłem kłódką i kopnąwszy klatkę,
W masie pospólstwa chciałem znaleźć matkę...
Patatra! Nagle gmach społeczny sflonął.
Tron z moim szewcem w gęstej mgle utonął,
Patrycyuszowi wypadły z rąk buty,
A dziady z kojca pierzchły jak koguty.
Skądże ta zmiana? Mam powody prawie.
Ujrzałem postęp społeczny na jawie.
Więc: plebejuszów wożące karety,
A plebejuszki strojne w tiul i dżety.
Ale widziałem także i łachmany,

A że deszcz

A że deszcz padał (objaw dosyć znany)
Jeden z powozów (co się także zdarza)
W pędzie przypadkiem obryzgał nędzarza...

Kareta z herbem, przynajmniej nie widzi
Na kogo bryzga, z przechodniów nie szydzi.
Monogramowa — toczy się z łoskotem,
Tylko, by bryzgać i tłum dziwić złotem.

Lecz tę rozważcie smutną okoliczność,
Tacy poeci, jaka jest publiczność.

El...y.

Poeto! Chociaż jesteś pomazańcem pieśni,
A ja dotknąć jej szaty nie mogę bez drzenia,
Wzgarda Ci! skoro lutnia Twa ulega pleśni,
Co toczy słabe serca i chore sumienia.
Wzgarda Ci! Jeśli zamiast wydobyć nas z cienia,
Żądasz ramion, bo światła nie ujrzałeś wcześniej.
Wzgarda! Jeśli myśl żartą zarodkiem zwątpienia
Odsłaniasz przed pospólstwem cierpiącym boleśniej!

Nie wolno Ci być martwej publiczności płodem!
Tyś winien ze snu budzić uspiomych szermierzy
I w dobrej, czy złej doli przewodzić narodem!
Przestań wzdychać i szlochać! Świat bez wodza bieży
Spójrzysz na gruzy świątyń, lud niszczoney głodem,
A zrozumiesz poeto: nam trzeba rycerzy!

Był to wiec. — O czym? — Choć zapytać snadno,
Odpowiedź trochę mniej łatwa.
Chyba fachowcy treść fugi odgadną,
Profanom w głowie się gmatwa.
Głosów trzydzieści, tematów trzydzieści,
Dla mnie za trudny kawałek,
Więc powiem tylko — nie ujmując cześci —
Przeważał odgłos piszczałek.
Koncert trwał długo, nawet bardzo długo...
Co wagi wcale nie zmniejsza!
Bo perły pono sypały się strugą,
A to od czasu ważniejsza.
Pod koniec jednak, ktoś z członków w kłopotcie
— Wszak ubiór rzeczą konieczną,
Milczkiem wykonał na cudzym paltocie
Rewindykację społeczną.
I ład się zmacił. Odtąd nawet forma

Stała się

Stała się dla mnie zagadką,
Ale przypuszczam: forma to nie norma,
Gdy całość płynie dość gładko.
Wtrącę nawiasem, z dyssonansów fali
Zgrabnie mistrz wybrnął i wrzawa
Umilkła, skoro prezesi wydali
Sąd: honorowa to sprawa.

Gdzie Nida podejmuje kolana Wiślicy
Jak wieśniaczka — wśród pola stoją cztery drzewa
Samotne, ocieniając kurhan tajemnicy.
Szum ich dziwne legendy po siołach rozsiewa.
O poległych rycerzach wieść gminna opiewa,
Nuć pieśni o skarbach ukrytych lirnicy.
Choć niepewność przyspiesza tętno, krew rozgrzewa,
Lud nie ważył się targnąć na urok skarbnicy.

Silnie zrosła darń świadczy jaka wrzała walka,
Jak długo w zawieszeniu stała wachnię szala
Między cześcią pamiątek a złota chimera.
I strzegła znicza ojców mogiła-westalka
Nietykalna powagą, co żądze oddala
Póki ręki bezbożnej nie wzniosł drugi Nero.

Miałem dziwaczny sen.
Na bezgranicznym łąnie
Ludzi okrutna moc,
W oddali wałą dzwony.
Gdzie rzucić okiem — Hen
Pochodni wir szalony
— »Jasności moc!
»Ostatnia noc!
»Prawda przed nami dziś stanie!
»Wielki się spełnił cud!
»Tajemną śmierć obalił
»Umarły prorok nasz,
»Otworzyć przybył oczy!« —
I zbiegł się cały lud,
Do kolan zbawcy tłoczy
— »Ty wodzu nasz!
»Zbawienie dasz,

»Imię Twe

»Imię Twe będzie świat chwalił.
I nagle umilkł gwar,
Bo stanął pośród tłumu
Ten, co rozedrzeć miał
Na zawsze nocy szatę,
Ugasić zwątpień żar,
Cierpieniu dać zapłatę.
Co koić miał
Zwierzęcy szal,
Pokazać źródło rozumu.
I podniósł chudą dłoń,
Straszny z rozwianym włosom
I wołał: »Byłem tam!
»Byłem w krainie ducha!
»Złudzenie! Zmysły goń!
»Tam pustka., cisza głucha...
»Nirwana tam!

»Widziałem

»Widziałem sam!
»Głos mój wieczności jest głosem,
»Z wiarą, nadzieją precz!
»Kto wierzył, ten się łudził!
»Pustym przesądem Bóg!
»Głupi, kto znosił trudy!
Śmierć, to cofnięcie wstecz!«
— »Hosanna!« — Wrzasły ludy,
»Przesądem Bóg!
»Kościół, nasz wróg!«

.
Na szczęście ktoś mnie obudził.

Wy, co się nazywacie sternikami ludu,
Wilki głodne, spragnione bogatego żeru!
Plemię niskich ambicyi wyrosłe wśród brudu!
Mówcie! Dokąd żeglujecie wasz okręt bez steru?
Czy temu ogromnemu, żyjącemu zeru
Otworzycie krainę pozbawioną trudu?
Czy rozdmuchać w nim chcecie siłę charakteru?
Mówcie! Wasi poddani oczekują cudu!

O biedny, czarny tłumie! Gdzieindziej świat drugi!
Zejdź z pokładu. Daremnie wytyżasz dziś oczy,
Daremnie szukasz kresu szalonej żeglugi.
Zejdź z pokładu... i czekaj, aż sternik proroczy
W twarde dłonie rozkaże Ci uchwycić pługi.
Ty biedny, Ty zbłąkany żywiolo roboczy!

W świetnej kawiarni przez lustrzane szyby
Trzech młodych ludzi patrzyło ospale
Na tłum przechodniów, falujący niby
Pędzone wichrem bał... (przepraszam) fale.
Lecz wir złośliwy, przewrotny jak czarty,
Wyrzucił kroplę na kryształy lśniące,
To znaczy: chłopiec o szybę oparty
Pożerał wzrokiem łakoci tysiące.
Młodzieńcy drgnęli. Woła demokrata:
»Dawać go tutaj! Niech wie, co sorbety!
Samolub syknął, poprawił krawata
I zaczął pilnie przeglądać gazety.
Westchnął klerykał — »Nie czyń tego bracie,
»Sądziłbym — wołać biedactwa nie trzeba,
Wróci do domu,

»Wróci do domu, a w ubogiej chacie
»Nic nie zastanie, prócz czarnego chleba«.
Samolub syknął, spojrział parę razy
Przelotnie w okno, trącił nożem szklankę
A gdy służący nadbiegł po rozkazy,
Niedbale wskazał oczyma frankę.

Wiszący nad bramą dzwonek,
Choć otworem stoją wrota,
Krzyczy, ciska się i miota,
Gdy pociągnąć za postronek.
A zależnie siły dłoni,
Albo nakształt muchy brzęknie,
Albo wrzaśnie tak, że pęknie,
Albo normalnie zadzwoni.
Kto jak dzwoni, chociaż pilnie
Badam, nie wiem. Tylko to wiem,
Że nie skłamię, jeśli powiem:
Pijany, chyba najsilniej.

»Kamienne serce« — czas w głązy się wwierca,
Kruszy je, zmienia w urodzajną ziemię.
A czy tysięcy lat ogromne brzemię
Skruszyło cząstkę kamiennego serca?

Dopokąd szewskiej sztuki nie znano, dopóki
Nie wiadano, co: zamsze, gumy i kauczuki,
Trzeba było omijać kałuże, gdyż o tem
Každy słyssał, że nogi można zwalać błotem.
Dzisiaj — chcąc jednakowo śmiałe stawiać kroki
Czy depcemy dywany, czy mętne rynsztoki,
Wstępujemy do sklepu i za kilka groszy
Kupujemy tam parę rosyjskich kaloszy.

Niedziela. Spowiadał się, modlił i t. d.
Poniedziałek. Znajomi jacyś przyjechali.
Wtorek. Gości dzień cały podejmował w domu.
Środa. Nie wiem co robił. Nie mówił nikomu.
Czwartek (północ). nie ma go jeszcze do tej pory.
Piątek (w nocy). Nieszczęście! — wrócił ciężko chory...
Sobota. Jak słyszałem o coś się strzelali,
Niedziela. Spowiadał się, modlił i t. d.

- »Jak to? Czy Pan naprawdę nic nie wie?« —
— »Istotnie.« —
- »Wczoraj był pojedynek« —
— »A znana przyczyna?« —
- »Naturalnie! Dość jasne chyba czyja wina
»Biedaczysko« — Spojrzałem jej w oczy przelotnie.
- »A ona?« —
— »Nawet nie wiem.« —
- »Wszak przyjaźń jedyna!« —
- »Trudna rada! Jak mi co do żywego dotnie...
»Wreszcie przyzna pan... węzły przyjaźni rozcina
»Zbrodnia. Wszelkie uczucia giną bezpowrotnie.«

Umilkła. Długo na nią patrzałem. Nie drgnęła!
Tylko dłoń jej igrała z parą rękawiczek...

I tak chwila

I tak chwila dziwnego milczenia minęła.
Pociemniało mi w oczach i jakby kto stryczek
Na mą szyję nałożył, wściekłość dusić ją.
Gdybyś była mężczyzną...!

Pewnie głupstwo dziś palnę,
Bo sumienie: rzecz prywatna,
Obowiązki: niepopłatna,
A morały: banalne.
Lecz wykwintne istoty
Pochłaniajcie od powicia
Nieomylny kodeks życia,
Klucz do szczęścia i cnoty.
My patrzymy przez szpary,
Nawet patrzeć się nie godzi,
Póki stoi wśród powodzi
Le pavillon du mari. —

Miała jaskrawą suknię, zwiędłe lica,
Kłęczała kornie przy konfesyonale
I łkała głośno, a kościelne stale
Zdały się wołać: »To jawnogrzesznicia!«
Zagrały dzwonki. Gdy blademi usty
Przyjmować miała Chrystusowe Ciało,
Ramię kapłana sędziwego drżało,
Jakby wprowadzał Boga w dom rozpusty.
Znikła wśród kolumn dziwna, niepojęta...
Zmartwychpowstała i nad śniegi czysta,
W sukni bezwstydu, jak gwiazda świetlista,
Lecz jak świetlisty kometa przekłęta...
Nikt nie zapomniał, że odkrywszy lica,
Rozdarłszy szaty, posągowo biała,
Jawnie potworny dar nagiego ciała
Rzuciła do stóp świata nierządnicą.
A świat je porwał namiętne ramieniem,

Zmiażdżył

Zmiażdżył pieszczoty wyuzdanej czarem,
Spalił oddechem, żądz tłumionych żarem
A szczątki wżgardy przywalił kamieniem.

Bo tłum bezmyślny, służalec obłudy
W chrześcijańskiej cnoty ukryte pokrowcach
I znakiem krzyża osłonięte brudy
Składa nabożnie w święconych grobowcach.

Wieczór krążą tłumy ludzi
A latarnia chociaż wszędy
Świeci, ustawiona w rzędy,
W niewielu ciekawość budzi.
Jednak stańmy. Szklona klatka
Gazowy płomień okala.
Błade światło zaś utrwała,
Wzmacnia auerowska siatka.
I ta siatka chociaż cienka,
Wątła, jak pajęczce sieci,
Powoduje, że gaz świeci
Silnie, żarząc jej włókienka.

A gdyby iskry co gasną,
Których blasku sieć nie wspiera,
Otaczać płaszczem Auera,
Czyby nie świeciły jasno?

Miał czerwone trzewiki, skarżył się na błoto,
Cierpiał. Twierdził, że ziemia jest zanadto brudną,
Że, gdyby Bóg zaprzestał razić ludzkość słotą,
Życ w dozgonnej czystości nie byłoby trudno.
I cierpiał. Lecz w cierpieniu zapomniał niestety,
Że po deszczu jak kryształ byłyby chodniki,
Gdyby... gdyby na świecie nie było estety,
Który cierpi i nosi czerwone trzewiki.

Gdybyśmy tylko raz, raz jeden chcieli,
Pozostawiając precz za sobą zmysły,
Przeglądać bagna codziennego życia,
Gdybyśmy tylko raz, raz jeden chcieli
Z sumieniem zrobić obrachunek ścisły
I serc upadłych podsłuchiwać bicia,
Natenczas byśmy, jak w lustrze ujrzeli
Wierną odbitkę naszej biednej duszy
I zdeptanego przez nas człowieczeństwa;
Natenczas byśmy jak w lustrze ujrzeli
Wyrzut, co żądza rozkoszy w nas głuszy,
Wyrzut, silniejszy nawet od szaleństwa
I zamiast sądzić bezwzględnie upadki
Własne, w bliźniego obleczone ciało,
Kornie ugielibyśmy karki harde.
I zamiast sądzić bezwzględnie upadki,
Na przebaczenie życiaby nie stało,
Bo czulibyśmy

Bo czulibyśmy dla siebie pogardę.
A wskazywalibyśmy tłumom kładki,
Którędy dążyć mają do zbawienia,
Byle raz drugi nie wyszło z ukrycia
I nie stanęło na gościńcu życia
Milczące widmo naszego sumienia.

Ciekaw jestem, czy poklask zyskałbym koniecznie,
Gdybym twierdził, że mając duszę nieskalaną,
Każdy dobry katolik może kraść bezpiecznie.
Myślę — prędzejby moje zasady wyśmiano.
Ciekawym bardzo sądu, jakiby wydano,
Gdybym twierdził, że musi, kto pragnie żyć wiecznie,
Wieczór szeptać modlitwy, a bluźnierstwa rano.
Zamkniętoby mnie w domu waryatów bezprzecnie.

A dlaczego naprzykład spoglądamy biernie,
Czemu nie zamykamy takich chorych wcale,
Co rozkazują służyć pojedynkom wiernie
A w wolnej chwili klękać przy konfesyonale.
Czemu nie zamykamy?! Przepraszam niezmiernie...
Zapomniałem... A któżby zakładał szpitale...?

Kto się przekonań swoich wygłaszać nie boi
Ten — »bezczelny!«
Pod pręgierzem opinii, kto bez drżenia stoi
— »Niegodziwy« —
— »Tchórzem« — kto miłość własną poświęca dla duszy
Nieśmiertelnej.
Brak mi rymów, więc może ktoś inny poruszy
— »Kto uczciwy...?« —

Był cyrk. Przy wejściu na wielkiej estradzie,
Lśniacej szkarłatem pluszu, frędzli złotem,
Jak cenne cacka na półce się kładzie,
Okazy kalek złożono pokotem.
Wkoło tłum widzów patrzył. Tłum jak wszędzie
Trącał się, tłoczył, biegła ludzkość cała,
Głodna widowisk, stanąć w pierwszym rzędzie,
By z bliska śledzić zwyrodniałe ciała.

Lecz ja widziałem tylko świat wymarły,
Świat potępieńców pełen i na wieki
Stojący wobec swej duszy kaleki,
Ochydnej duszy, jak zmarniałe karły.

Tyś przybył do nas jak anioł stróż,
Tyś przybył rozciąć niewoli kajdany,
Tyś nam otworzył kraj cudny, nieznany,
Kraj pieśni, kraj miłości, kraj zórz!

Twoją matką śmierć była, słońcem odbłask łun,
Twojem sennem marzeniem hufce zbrojnych widm,
Żadna ręka nie tknęła miękko srebrnych strun,
Tylko pieśni bojowej dziki znałaś rytm.
I porwała Cię w górę orlich skrzydeł moc
I zawisłaś, jak piorun groźna, pośród chmur
I szybujesz nad ziemią ponura jak noc,
Siejąc wojnę, pożary, niewolę i mór!

Pielgrzymie! skoro ujrzysz przed sobą dwie drogi,
Zwolnij kroku i badaj pilnie drogowskazy.
Po jednej trzeba stąpać pozbywszy się trwogi,
Po drugiej, zostawiając na progu urazy.
Do świątyń obie wiodą, gdzie mieszkają bogi:
Orzeł pyszny i cichy gołąbek bez zmazy.
Nim wyruszysz pielgrzymie, otrząśnij pył z nogi
I pomnij, że przed Panem nie staniesz dwa razy.

A biada tym, co idąc po drodze ognistej
Pragną i nadaremnie wznoszą dłoń wychudłą:
Wśród płomieni nie tryśnie ukojenia źródło.
A stokroć takim biada co w krynicy czystej
Obmywają ramiona zbroczone krwią wroga;
Ci u kresu wędrówki nie zobaczą Boga.

Weź kilof jeśli pragniesz znaleźć skarb!
Weź kilof w dłonie! Twarde skały szarp!
Niech runą! Wtedy błysną z głębi szkarp
Ukryte dyamenty, strojne tęczą farb.
Weź topór w dłonie! Rozwal bramy miast!
Niech runą! Wagnaj całą ludzkość z gniazd!
A drżące tłumy, pozbawione kast
Ozdobią twoje czoło dyademem z gwiazd.

Lecz chociaż skały między twa potężna dłoń,
A stali nie wyszczerbił dotąd żaden gład —
Odrzuć kilof, gdy pragniesz być górnikiem serc.
Choć gore blaskiem słońca uwieńczona skroń,
Odrzuć topór — na sercu nie zrobi on skaz,
To twierdza najsilniejsza z najsilniejszych twierdz!

Szukał pana. A za nim caluška wieś wali,
Zbrojna w cepy, siekiery, kłonicy i kije.
Biedne psisko...

— »Dzicie! Woda i nie chcioł!« —

— »How! Kość leży, w pysk nie broł!« —

-- »Który blisko

»Niech weń razi!« — »Popsuty! a ražno, kto zyjel« —

Pies krwią broczył, skowyczał, ale szukał dalej.

Raptem pomknął, jak kamień wyrzucony z procy,

Poznał pana. — »La Boga! Imajcie chłopaki!« —

— »Juz go chyta!« —

— »Brać się w kupę! Juz go zzarł!« —

— »Juz mu copkę z łeba zdarł!« —

— »Stój!... on wital!« —

I tłum

I tłum zaczął wydziwiać. — »Dyc takiej sobaki
»Tośwa jesce na zywe nie widzieli ocy!« —

I ty, co pieśni szukasz, nie znajdziesz pomocy!
Tłum za tobą i gorsze od siekier języki,
Boleńsze od kłonic szyderstwa oznaki...
Pędź naprzód! a gdy padniesz, mieć będziesz pomniki
I świat zacznie wydziwiać. — »Dyc takiej sobaki
»Tośwa jesce na zywe nie widzieli ocy!« —

Czarne gałęzie, jak wodne liany
Skręcone, nagie, sękaty,
Na gorejący firmament miedziany
Artysta rzucił jak kratę.
W głębi więziony księżyc palił kraty.
Księżyc — nie starzec bez mocy,
Krażli, wygasły sprzymierzeniec nocy,
Lecz młody, złotem bogaty.
I mistrz uchwycił turniej światła z cieniem
I obraz walczyć się zdawał.
Im chłostał drzewa jaśniejszym promieniem,
Cień ich czarniejszym się stawał.

Niech jasność walczy! Niech walczy bez końca
I złote grotty niech ciska,
Chyba wygasną słoneczne ogniska
Lub świecić zaczną dwa słońca!

Nie ten samotny — kto w więziennej ciszy
Żyje od świata przedzielony murem...
Nie ten samotny — kto zakonnym sznurem
Opasze biodra, wdzieje kaptur mniszy...
Lecz ten, co własnej nie posiada celi,
Własnego łkania i śmiechu nie słyszy,
Bo zbyt potężnie życie masy dyszy,
A życia tego nie dzieli...

Moje życie — to ciemna, pełna syku grotą,
Z której klejnot rozkoszy usunął duch zdzierca.
Skoro dłonie wyciągam do śmiechu, do złota,
I słyszę krzyk namiętny głuszonego serca,
Taka mnie bezlitośna ogarnia tęsknota,
Taka rozpacz w zastygłą pierś moją się wwierca,
Że byłbym jako wilczyc rozszalała rota...
O czemu tylko rozkosz zabił w nas morderca!

Moje życie — to ciemna grotą pełna syku...
To siwizna młodości... To bezsilność siły...
To nad głosem natury wzniesione mogiły...
Lecz wszystko zwalczę. Mężnie dni moje przeżyję
I odtrączę pokusy, jadowite żmije,
Byleś nie zbladł, Ty lepszej przyszłości promykul

W nocy zwątpienia, oparłem się blady
O zamku mego strzaskane filary.
Nagle dwa ptaki wbiegły pod arkady,
Paw barwno-pióry i wróbelek szary.

»Czemu — choć silne masz pawiu ramiona —
»Nigdy jak orzeł nie wzlecisz wysoko?
»Jak tam być musi jasno! Jak szeroko«.
— »Bo nie chcę włościć za sobą ogona«.
— »Wyrwij go. Zdeptaj błyszczące mamidła!
»Przeszyj świat cały błyskawicznym lotem
»I zostań panem przestrzeni.

— »Dość o tem!

»Trzeba być orłem i mieć orle skrzydła.
»Choćby powstała myśl lotu szalona,
»Choć własnym dzióbem rwałbym pióra świetne,
»Nigdy z przeszłością związku nie odetnę

»I będę

»I będę tylko pawiem — bez ogona.
»Więc poco niszczyć lśniące barwą brzemię?
»Poco zataczać nadpowietrzne kręgi?
»Czy, żeby zyskać miano niedołęgi,
»Skoro znużony powrócę na ziemię?
»Bądź słońcem! Ożyw skał martwe odłamy!
»Wzleć nad obłoki strojne barwą tęczy!
Mnie zostaw księżyc. »Mniej pali, mniej męczy,
»A widzę na nim prócz światła i plamy.
»Patrzaj! Po niebie jak orlica młoda
»Kształtna i dumna, mknie srebrzysta chmura«.
A roztaczając w krąg ozdobne pióra,
Kończył paw »Pomnij, że to tylko woda!«...
— Woda... i zimne pieściłem zwałiska,
— O wy, strzaskane mojej łodzi maszty! —
A nad gruzami niemego zamczyska
Płakały łzami kamiennemi baszty...

W nocy przełomu — samotny jak ptaki
Więzione w złoconej klatce,
Słuchałem szumu subtelnego ciszy
A blask ogniska w staroświeckiej niszy
Myśleć mi kazał o matce...
Zamknąłem senne powieki i znaki
Ujrzałem dziwne wśród nocy,
Ogniwa duże — płonące i krwawe...
— Precz... Szanuj matko chociaż krypty nawę
Gdzieindziej szukaj pomocy!...
Pamiętam — kiedy od dziecka skazany
W kolebce z bolu się wiłem,
Żarty powoli pasożytną pleśnią...
Tyś mnie tą samą ukajała pieśnią...
Wtedy się pieśnią bawiłem.
Dziś milcz! Nie tykaj zabliznionej rany!
Wypiłem kielich mój do dna

I nie uśmiechnę

I nie uśmiechnę się przez łzy do lalki !
Życ mi kazałaś... i upaść wśród walki. —
Upadłem matko wyrodna!
Więc odejdz... Piętno mam śmierci na wargach
A serce ciągle krwią broczy,
Żeś mi bezwładne dała, chore ramię...
Idź... Pokaż obcym niewolnicze znamię,
Może zapłaczą ich oczy...
Dla nas bądź dobrą. I synów w letargach
Leżących, nie budź z litości,
A zasiej rolę zdrowem pokoleniem...
Bo nie ma prawa nikt z czystem sumieniem
Żądać od kalek wolności!

Ja zmartwychwstałem po długim cierpieniu,
Po wielu walkach i zawodach wielu,
Zmartwychpowstałem tylko w Zbawicielu
Widzieć cel bytu a szczęście w sumieniu,
Zmartwychpowstałem, otwierać weselu
Wrota, miłować ginących w więzieniu,
Zmartwychpowstałem służyć poświęceniu,
Służyć nędzarzom, co błądzą bez celu.

I chciałbym ludzkość jak złote ogniwa
Spoić, zawiściom nałożyć obroże,
By ziemią wiara owładnęła żywa.
A ty, co słowem rozdzieliłeś morze,
Światłość od ciemna, daj mi dożyć zniwa
I przed upadkiem chroń wszechmocny Boże!

Stosy wieńców... W żałobie klęczące postacie...
Zapach wosku... ta cisza... spuszczone kotary...
Rojem drżących płomyków otoczone mary...
Dodawały ponurej powagi komnacie...
A nie byłoby może umarłego czoło
Tak żółte, gdyby nastrój bezdennie żałosny
Rozprószył świeży powiew budzącej się wiosny
I zdmuchnął żółte światła gorejące wkoło...
A nie byłaby może umarłego cera
Tak martwą... gdyby trumnę zdobiły kąkole,
Polne maki, nie krągłe pamięci symbole,
Niby wielkie uwite z cennych kwiatów zera...
Ja chcę światła! powietrza! Chcę ostatnie chwile
Wyzyskać! Moje zwłoki wynieście z ukrycia!
Zamiast płaczu i gromnic — pragnę pieśni życia!
Pragnę słońce pożegnać nim spocznę w mogile!
A potem... jeśli wola... możecie dopiero

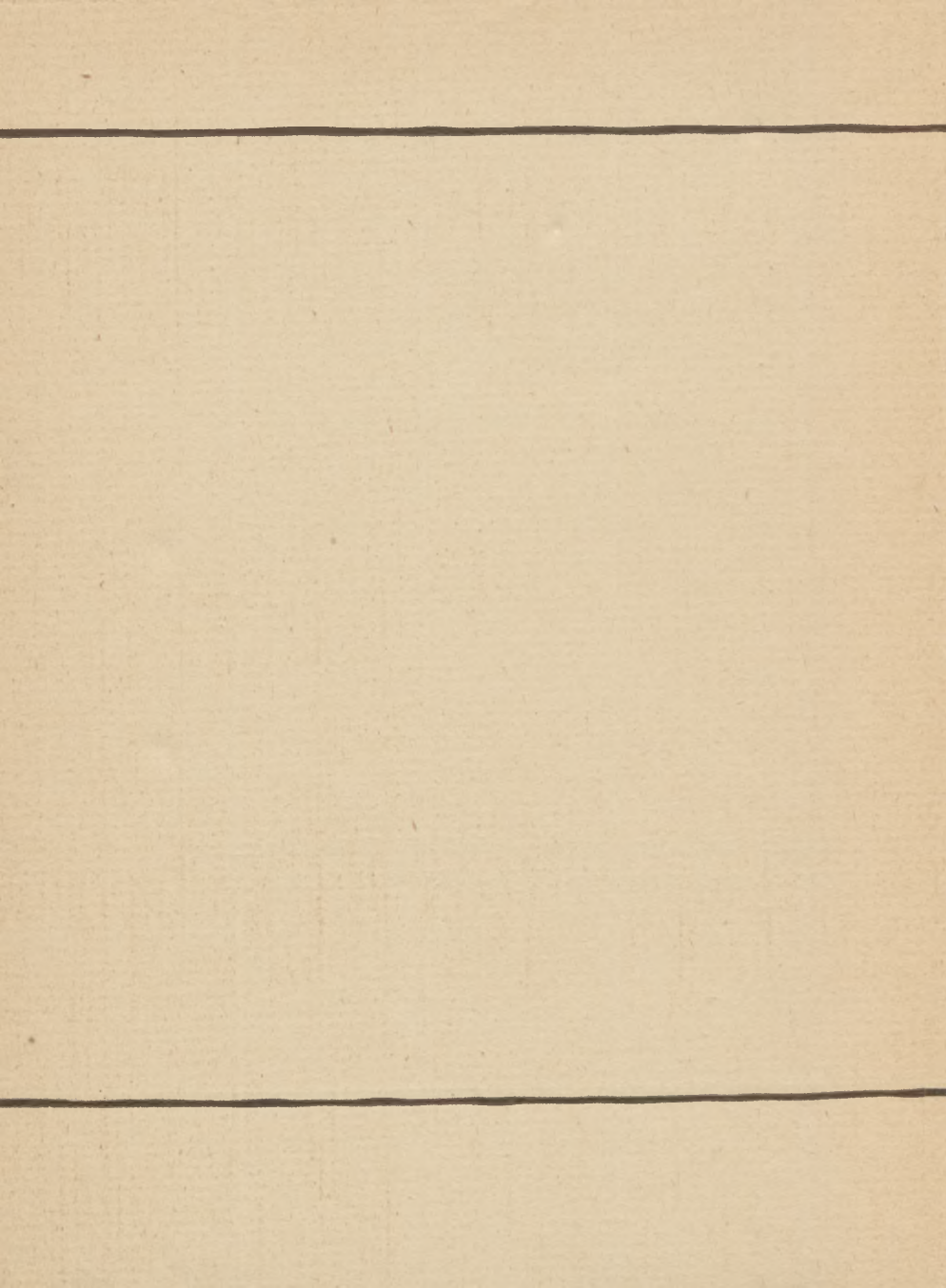
Dać nagrobek

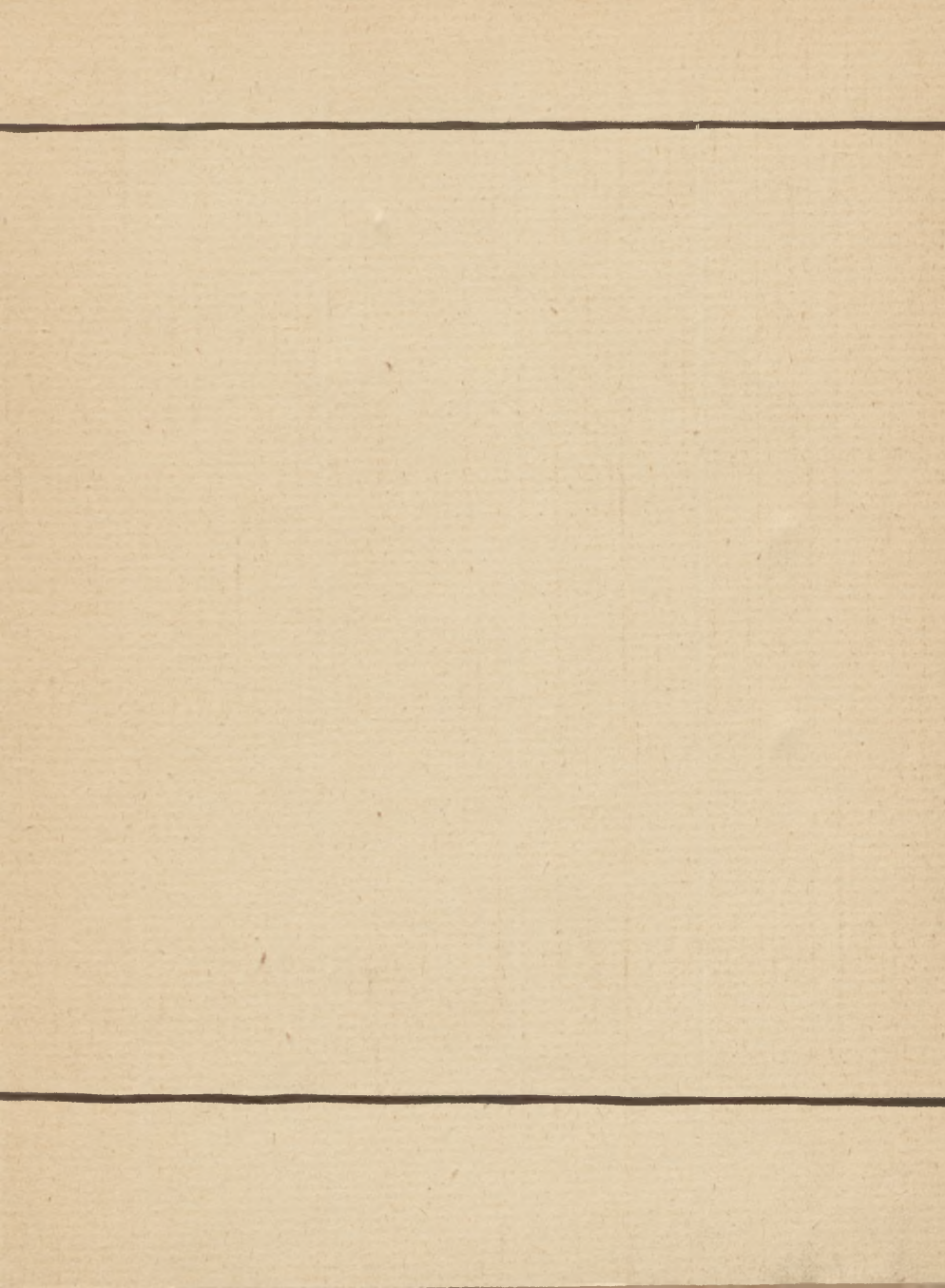
Dać nagrobek i wstęgą przepasany wieniec,
Koło krzyża — wryjcie na kamieniu: »jeniec...«
A na wstęgach napiszcie: »od przyjaciół... zero!«

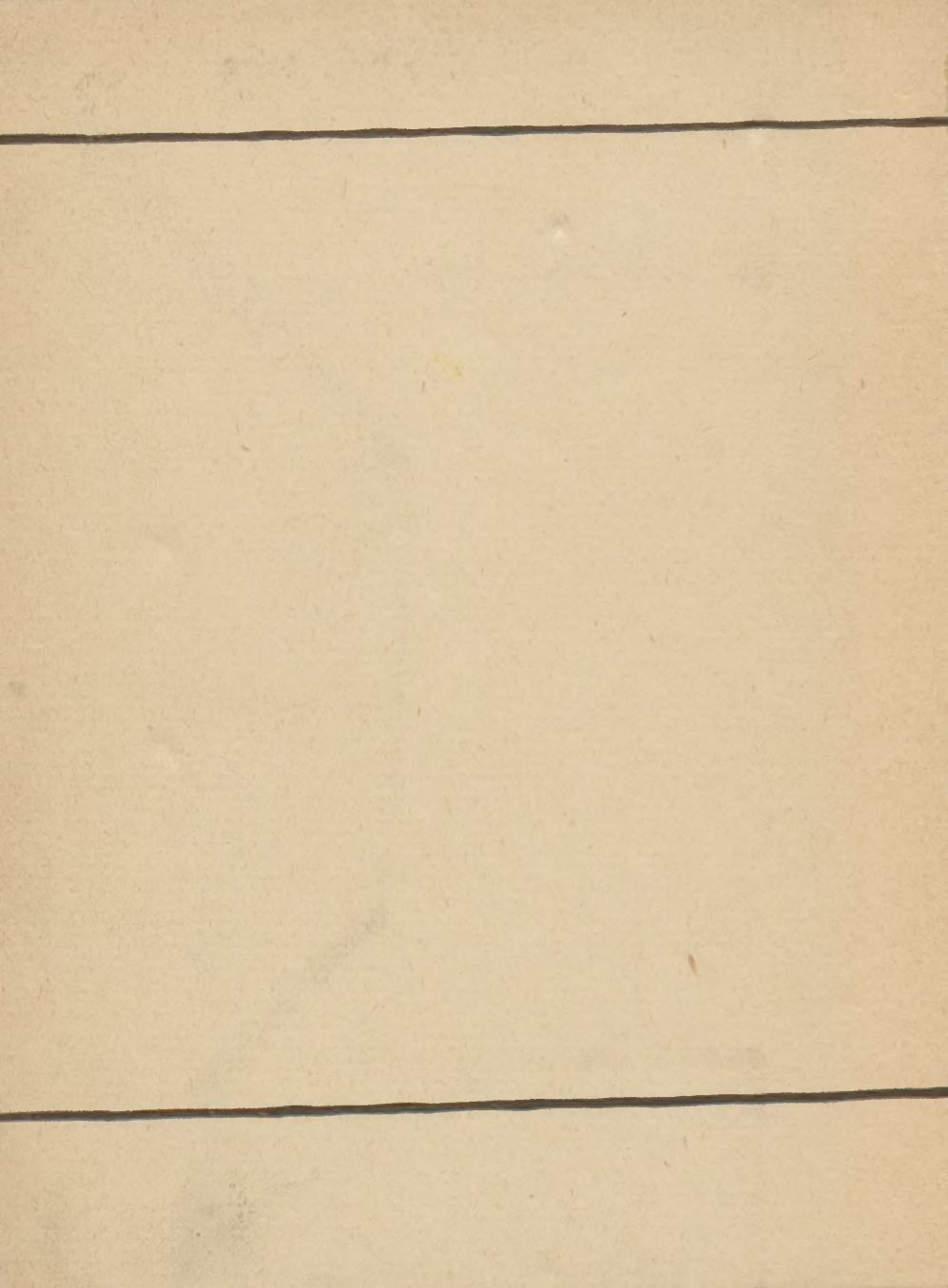
Bo Ty jedna jedyna, życie mego życia,
Ty Aniele skrzydlaty coś mnie uczył kochać,
Uczył cierpieć i cierpiał ze mną od powicia,
Ty jedna Matko!... możesz na mym grobie szlochać...



Odbito nakładem autora w drukarni Uniwersytetu
Jagiell. pod zarządem J. Filipowskiego w Krakowie.







WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

84409

Biblioteka WSP Kielce



0171374